

Od redakcji

Wiosną 1998 r. p. Barbara Wyszyńska przekazała do Archiwum Wschodniego wspomnienia p. Włodzimierza Strzałkowskiego z lat 1939 - 1951. Są to kserokopie "Profilów emigracyjnych" z nr. 14,15,19/1993 Biuletynu Informacyjnego Stowarzyszenia Techników Polskich "Notatnik Technika" wydawanego w RPA oraz 4 kasety nagrane w tym samym roku przez Autora, również w RPA. Pierwsza, wydrukowana część wspomnień obejmuje lata 1939 - 1941. Oto jej streszczenie. Włodzimierz Strzałkowski, 24-letni absolwent Szkoły Podchorążych Artylerii w Toruniu walczy w kampanii wrześniowej na południu Polski w Armii Karpaty. 17 września wraz z oddziałem dostaje się pod Tarnopol do niewoli sowieckiej. Jeńców pędzą sowieci pieszo, o głodzie przez Zbaraż do przejściowego obozu jenieckiego w Podwołoczyskach. Na początku października oficerowie i podchorążowie zostają osadzeni w Glińskim Monasterze k/Glińska (Kijowska obł.) Autor relacji wraz z kolegą uciekają stamtąd na początku listopada. Trasa powrotu do Polski: Kijów, Sarny, Kowel, Chełm, Radom. Tu - załadowani do transportu do Niemiec - wyskakują z pociągu i 13 listopada są w Warszawie. P.Strzałkowski dowiaduje się, że jego ojciec, ziemianin i działacz w Towarzystwie Ochrony Kresów Zachodnich został przez Niemców rozstrzelany w Obornikach. Po nawiązaniu kontaktów z polskim podziemiem Autor wraz z przyjacielem z podchorążówki, który uciekł z niemieckiej niewoli, wyruszają do Francji przez Węgry. Na początku 1940 r. p. Strzałkowski dostaje przydział do 2 dywizji strzelców pieszych i awansuje do stopnia podporucznika. Od kwietnia 1940 walczy z Niemcami, pod Amiens, wraz z kolegą, rozbijają 3 czołgi nieprzyjacielskie. Potem Dunkierka, ewakuacja przez Kanał La Manche, Szkocja, szkolenie nowoformowanych oddziałów polskich. W czerwcu 1941 gen. Sikorski wydaje rozkaz, że oficerowie polscy mogą na ochotnika wstępować do armii brytyjskiej której kadra oficerska była zbyt szczupła. Ppor. Strzałkowski wyrusza do Afryki Zachodniej. Kontrakt jest dwuletni, początki służby w 4 dywizjonie artylerii lekkiej w Nigerii - niełatwe. Bo i trudności językowe, i egzotyka kraju, i zupełnie odmienny tryb życia oficerów brytyjskich<sup>w/</sup>armii kolonialnej. Ppor. Strzałkowski przezwycięża trudności, aktywnie włącza się do służby, na manewrach wykazuje inicjatywę popartą wiedzą zdobytą w woj-

sku polskim. W wolnych chwilach - poluje ... Już po paru miesiącach awansuje na kapitana armii brytyjskiej, a następnie pełni funkcję zastępcy dywizjonu w randze majora. Po roku służby, w czasie urlopu, zwiedza Capetown i Johannesburg w Afryce Południowej, nawiązując tam cenne znajomości. Nadchodzi zima 1942/43. Oto spisana ( z niewielkimi skrótami ) z kaset relacja majora Strzałkowskiego.

x x x

Coraz częściej słyszymy, że siły zbrojne Afryki Zachodniej mają stworzyć siłę uderzeniową na Dahomej francuski i zdobyć Dakar. Brygady łączą się, powstają dwie dywizje, które wkrótce zostają przerzucone do Sierra Leone, na granicę Dahomeju francuskiego. Lądujemy w pustej dolinie górskiej, doszkalamy wojsko. W wolnych chwilach poluję. W ciągu kilku miesięcy pobytu udało mi się odstrzelić 8 lampartów, niektóre skóry mam do dziś. Tymczasem następują zasadnicze zmiany, które przekreślają nasze dotychczasowe plany militarne. Połączone siły amerykańsko-brytyjskie lądują w Afryce Północnej, opanowują Algier i Maroko, a równocześnie Dakar przechodzi na stronę de Gaulle'a. Rola, jaką mieliśmy odegrać na tym odcinku dla nas się skończyła. Staje się jasne, że obie dywizje zostaną skierowane do Burmy, do walki z Japończykami. Czas biegnie, służba oficerów polskich zbliża się ku końcowi, w październiku 1943 r. upływa termin naszego kontraktu. Szereg oficerów zgadza się na przedłużenie go na następne 2 lata i wyjazd do Burmy. Mój dowódca brygady jest pewien że ja postąpię podobnie. Odpowiedź moja jest krótka - wracam do armii polskiej. Obowiązkiem moim jest walka z Niemcami, najeźdźcami mojej ojczyzny i nie mam zamiaru walczyć o British Empire z Japończykami. Następuje ochłodzenie, dotąd bardzo przyjemnych stosunków z d-cą brygady. Mam do wyboru: wracać do Anglii, albo jechać na Bliski Wschód do II Korpusu gen. Andersa. Wybieram to drugie. Kończę moją służbę w armii brytyjskiej w randze kapitana. Żegnając się z oddziałem, wyjeżdżam do Lagos. Stąd statkiem - znów do Capetown, gdzie spędzam drugi, należny mi urlop. Parę dni przed Bożym Narodzeniem statek "Pułaski" wyrusza w konwoju do Suez. Na wysokości Kenii atakują nas niemieckie czy japońskie łodzie podwodne, dwa statki z konwoju zosta-

ją zatopione, zatrzymujemy się w Karaczi, by w końcu, przez Aden dotrzeć do Port Saidu. Melduję się u gen. Tokarzewskiego - dowódcy polskiego zgrupowania, tracę swój stopień oficera angielskiego, bo władze polskie go nie uznają i wracając do stopnia podporucznika zostaję przeniesiony do obozu zbiorczego oficerów bez przydziału koło Ismaili w Egipcie. Wkrótce, jako jeden ze stosunkowo nielicznych oficerów II Korpusu władających angielskim, zostaję przeniesiony do Kairu, gdzie działam w polskiej misji łącznikowej z dowództwem brytyjskim. Tymczasem wojska sprzymierzone wylądowały już we Włoszech i II Korpus ma dołączyć do VIII Armii na terenie Włoch. Do Kairu zaczynają przybywać polskie oddziały. Kilku z nas przechodzi skrócony kurs "przewodników" po Kairze i naszym zadaniem jest oprowadzanie oddziałów polskich po zabytkach miasta. Pewnego dnia oprowadzam oddział ochotniczek - kobiet z 316 kompanii transportowej II Korpusu. Są to wszystko dziewczęta, które przeszły przez Rosję, a teraz pełnią - ciężką jak dla kobiet - służbę transportowców, prowadząc ciężkie lory z dostawami dla II Korpusu w trudnych warunkach terenowych. Po skończonym oprowadzaniu zostaję "poderwany" przez dwie ochotniczki - wszystko zaczyna się niewinnie - kończy się tym, że jedna z nich, Danuta - zostanie w końcu moją żoną. Wkrótce otrzymuję przydział do 5 pułku artylerii lekkiej, jako drugi oficer ogniowy drugiej baterii. Pełnię tę funkcję jak mogę, przeskok jest duży, bo z dowódcy dywizjonu w armii brytyjskiej stałem się najniższym rangą oficerem zwykłej czterodziałowej baterii. Wyjeżdżamy do Aleksandrii, stamtąd konwój rusza do Włoch, wyladowujemy się w Taranto. Obsadzamy odcinek drogi nad rzeką Sandrią, w górach południowych Włoch. Jest zima, na froncie nic właściwie się nie dzieje, tylko służby patrolowe. Osobiście nie jestem bardzo szczęśliwy, bo wszedłem w grono wcześniej żyte - oficerów, którzy przeszli gehennę rosyjską i potem szkolenie i organizowanie się w Buzułuku, w Persji, Palestynie, Iraku. Ja jestem obcy, moja historia wojenna jest inna. Dopraszam się o przydział do oddziałów nacierającej piechoty, raz, drugi mi się to udaje, chyba spisywałem się dobrze, bo przydział taki dostaję coraz częściej. Życie staje się bardziej urozmaicone, choć może bardziej wyczerpujące i niebezpieczne.

W kwietniu 1944 r. II Korpus przechodzi do Campo Basso i szerzą się

wieści, że zostanie nam powierzone zadanie zdobycia Monte Cassino. Nie będę się rozwodził nad samą akcją, to jest temat ogólnie znany. Mogę tylko powiedzieć, że brałem w tej bitwie czynny udział, jedenastego maja poszedłem jako oficer obserwator do nocnego natarcia z 15 batalionem strzelców, t.zw. "wilków". To było bardzo ciężkie przeżycie, duże straty. Uderzaliśmy na t.zw. "Widmo" napotykając na zacięty opór Niemców, których wreszcie w drugim natarciu z 17 na 18 maja udało się wyrzucić ze stanowisk obronnych i osiągnąć nasz cel. Po bitwie II Korpus wraca w rejon Campo Baso aby po kilku dniach odpoczynku przejść do działania na odcinku adriatyckim wzdłuż drogi nr 16. Bitwa o Anconę. W natarciu na Palazzo Simonetti idę jako t.zw. obserwator wysunięty z kompanią 13 batalionu strzelców. W tym czasie mamy trudności z dowozem amunicji i dowódca dywizjonu przydzielił mi do dyspozycji dokładnie 67 pocisków... Palazzo Simonetti leży na uboczu. W otaczającym go parku dostajemy się w ogień dwóch "szpandałów" - niemieckich karabinów maszynowych. Piechota zalega... Dowódca kompanii i młodszy oficerowie starają się piechurów poderwać. Bez rezultatu. Wreszcie mnie szlag trafia i wraz z podchorążym, który obsługiwał radiostację, skaczemy od krzaczka do krzaczka, za mur budynku. Duży brama, w niej furtka. Wywalamy ją kopnięciem nogi, wpadamy do sieni. W mroku widzę jakieś dwie majaczące sylwetki. Idzie seria z tomsona, podchorąży wtóruje ze swego, sypie się szkło... Okazuje się, żeśmy strzelali sami do siebie, bo hal wjazdowy wyłożony był lustrami! Odprężenie, śmiech ... Za chwilę wpada nasza piechota. Niemcy wycofali się.

W oułku zaczynają patrzeć na mnie łaskawszym okiem, jestem już na stałe na stanowisku obserwacyjnym, dostaję Krzyż Walecznych. Po kilku dniach - kolejne natarcie. Wychodzimy o świcie z pałacu, przed nami pole z kopcami ściętego zboża. Po przejściu zaledwie kilkuset metrów dostajemy się w ogień karabinów maszynowych. Od serii "szpandała" pada zabity na miejscu dowódca kompanii, pada jeszcze dwóch strzelców, pada - ranny - podchorąży obsługujący radiostację. Ja zostaję rąbnięty w pierś, padam na ziemię, ale nie tracę przytomności, ruszam ręką, nogą, wszystko działa, więc widzę, że nic mi się nie stało. Pytam podchorążego - co z tobą? - A dostałem, panie poruczniku! Więc podnoszę się, wołam sanitariusza. Sa-

nitariusz poderwał się, poszła seria, padł. Mnie wziął na cel strzelec wyborowy i przeżyłem bardzo nieprzyjemne chwile, bo leżąc na ziemi, tylko czułem jak pociski padają tuż przy mojej głowie. Natarcie kompanii kompletnie utknęło. Wołają z tyłu do telefonu, podczołguję się, dzwoni dowództwo brygady, pytają, co się dzieje. Melduję o śmierci kapitana - dowódcy kompanii, <sup>mówię</sup> że jesteśmy pod silnym ogniem. Pada pytanie - co dalej robicie? Więc mówię - obejmuję komendę i ruszamy dalej do natarcia. Rzeczywiście poderwałem paru strzelców, udało się nam granatami wydusić stanowisko karabinu maszynowego i doszliśmy do wioski Partignano, która była celem naszego natarcia. Wykruszyliśmy załogę niemiecką, ja sam wziąłem do niewoli obsadę działka przeciwpancernego, Niemcy wycofali się w popłochu. Był to dla mnie dzień przełomowy, bo w ciągu następnych kilku dni dostałem awans na porucznika, Virtuti Militari, i zostałem mianowany dowódcą 6 baterii 5 pułku artylerii. Życie żołnierza to jedna wielka loteria... Ja w tym ostatnim natarciu wyciągnęłem szczęśliwy los... Otóż w lewej kieszeni ~~szere~~ na piersiach battledresu miałem zapasowy magazynek do Visa naładowany amunicją. Pocisk z serii, która zabiła kapitana, trafił mnie prosto w pierś, w ten magazynek. Roztrzaskał go nie powodując wybuchu amunicji i utknął. To uderzenie właśnie rzuciło mnie o ziemię. Ale to nie wszystko. Po akcji zauważyłem, że mam przestrzelony dwukrotnie chlebak i prawy rękaw munduru... Trudno uwierzyć, że mogło się mieć tyle szczęścia! Zajęliśmy Anconę. Po krótkim odpoczynku Korpus ponownie wchodzi do akcji, jesteśmy cały czas w pościgu za cofającymi się Niemcami na odcinku adriatyckim, wzdłuż drogi nr 16. Po pewnym czasie przerzucają nas na drugą stronę Półwyspu Apenińskiego, gdzie przez Assyż wchodzimy do akcji w Apeninach. I tutaj, w terenie dość siężkim, bo bardzo górzystym, ciągle przechodzimy z akcji do akcji. Cały czas działam jako obserwator wysunięty, bo to jest zasadnicza funkcja dowódcy baterii. Nacieramy na miejscowość Martignano. Pierwsza faza natarcia się udaje, ale dostajemy się pod dość silny ogień niemieckich dział przeciwpancernych. Szukam punktu, z którego mógłbym lepiej obserwować sytuację. Na lewo od naszej chałupy, na skraju wsi jest małe wzgórze, na nim zabudowania. Podchodzę tam bliżej, patrzę, a wśród krzaków, u stóp wzgórza, nad niewielką skarpą, z której

świetnie widać biegnącą w dole drogę, stoi niemieckie działo przeciwpancerne. Jest to t.zw. Ferdynand czyli działo kalibru 88 na podwoziu czołgu, otwarte od góry. Widzę, że dołem idą nasze czołgi, a niemiecka obsługa przygotowuje się do otwarcia ognia. Nie wiem, co mną powodowało, ale wyciągając z za pasa granat, podbiegam z tyłu do działa, wrzucam granat do środka. Za chwilę wybuch, z załogi - trzech leży, a z przodu dwóch Niemców zszokowanych, ale żyjących. Oddaję do nich parę strzałów z Visa i z okrzykiem "Hände hoch!" oddaję znów kilka strzałów, krzyczę "raus!". Niemcy zeskakują z platformy na ziemię, pod pistoletem pędzę ich do miejsca dowodzenia kompanii i melduję, co się stało. Kończy się tak, że "zdobycznym" działem prowadzonym przez jednego z wziętych do niewoli Niemców, wjeżdżamy triumfalnie na naszą linię piechoty. No i poszedł wniosek do drugiego Krzyża Walecznych.

Przechodzimy dalej w poprzek Apeninów, ciągle w styczności z nieprzyjacielem, aby w końcu osiągnąć z powrotem drogę nr 16, zajmując Predappio - miejsce urodzenia Mussoliniego. Tu muszę dodać, że 316 żeńska kompania samochodowa była zawsze z nami, zaopatrując oddziały w żywność i amunicję, więc moja Danusia była częstym u nas gościem. Front jakby zastygł. I nagle, pewnego wieczoru, pociski niemieckie zaczęły padać na plac i okoliczne uliczki, a na placu stały ciągniki naładowane amunicją. Dwa wozy stanęły w ogniu. Panika. Byłem w pobliżu, więc zanim nadbiegli kierowcy, wskoczyłem do palącego się ciągnika i wycofałem go o kilkadziesiąt metrów. Tam ugasili go żołnierze. Wróciłem na plac i wyprowadziłem drugi płonący wóz w innym kierunku. Tak się zdarzyło, że akcję tę obserwował dowódca pułku. No i Krzyż Walecznych po raz trzeci...

Zbliża się zima 1944 r. Przechodzimy w góry koło Monte Mauro, gdzie w grubym śniegu, na stanowiskach bojowych spędzamy miesiące zimowe. W kwietniu 1945 biorę ślub z Danutą w na wpół rozwalonej katedrze w Faenzie, a przyjęcie weselne odbywa się na stanowiskach naszego dywizjonu. Następnego dnia przychodzi rozkaz natarcia na Bolonię. Melduję się w dowództwie batalionu brygady lwowskiej, który stoi na stanowiskach wyjściowych nad rzeką Senio. Po drugiej stronie rzeki - umocnione stanowiska niemieckie, mosty zburzone. 9 kwietnia nadciąga ponad tysiąc "latających for-

tec" - Liberatorów, by z powietrza zniszczyć stanowiska niemieckie. Niestety - nalot kończy się tragedią. Bombowce leciały falami. Pierwsza fala rzuciła swój ładunek na niemieckie linie obronne, ale wiatr zniósł dymy i kurz wybuchów na naszą stronę. Następne bombowce zaczęły walić w miejsca zadymione, czyli w nas ... Straty były duże, dziewiąty batalion stracił ponad 150 ludzi ... Dopiero następnego dnia nasze oddziały ruszyły do natarcia. Niemcy stawiali zacięty opór. Ludność cywilną wysiedlili zamieniając domy w punkty obrony. Szliśmy pod ogniem moździerzy i broni maszynowej, rwała się łączność. W ostatnich dniach kwietnia II Korpus rusza do swej ostatniej akcji w II wojnie światowej. Natarcie pancerno-motorowe rusza szerokim frontem. Nasz batalion sunie szosą nr 16 - via Emilia - już właściwie bez większego oporu ze strony Niemców. Wczesnym rankiem wjeżdżamy do Bolonii. Puste początkowo ulice wypełniają się wkrótce tłumem wiwatujących Włochów: "viva Polacco, viva Pologna". Kwiaty, wino, nikt nie zwraca uwagi, że parę ulic dalej ciągle jeszcze grają karabiny maszynowe. Stoimy na głównej ulicy miasta, za chwilę nadjeżdża wozem pancernym gen. Klimecki, a po krótkim czasie z bocznej ulicy wyłaniają się Amerykanie, których "pobiliśmy" w zajęciu miasta ledwie o kilkadziesiąt minut. Bolnia została zdobyta, a dla nas, Polaków walczących na Zachodzie, zakończyła się walka zbrojna ...

Od redakcji. Co było dalej? Żołnierze II Korpusu stali się niepotrzebni nawet na froncie włoskim. Stali w odwodzie, a po zakończeniu wojny pełnili służbę garnizonową. Por. Włodzimierz Strzałkowski rozkazem Korpusu zostaje skierowany w lipcu 1945 r. do Wyższej Szkoły Wojennej w Haifie, którą kończy w listopadzie 1946 roku. Jego żona w tym czasie studiuje farmację we Włoszech. Następuje ewakuacja II Korpusu do Anglii, w 1947 r. <sup>Autor wspomnień</sup>przecho-  
dzą do cywila. Zawodowy i - utalentowany wojskowy zostaje kierownikiem hotelu w Londynie. W 1951 r. dzięki znajomym z lat wojny z Johannesburga dostaje prawo pobytu i pracy w RPA. Wyjeżdża z żoną i dzieckiem na 40 lat zdala od kraju. Pan Włodzimierz Strzałkowski wrócił do Polski. Zmarł 13. 01.1996 r. w Olsztynie i tam jest pochowany.



# Notatnik

Biuletyn Informacyjny  
Stowarzyszenia Techników Polskich w RPA

## TECHNIKA

*Profile Emigracyjne*

### UCIECZKA Z OBOZU ZAGŁADY POD KOZIELSKIEM

... wspomina plk  
Włodzimierz Strzałkowski



Strony 2, 3, 4 i 5

*Stowarzyszenie Techników Polskich w RPA  
zaprasza  
swoich członków i sympatyków  
na doroczną*

### Bal Technika

*który odbędzie się w sali balowej Wanderers Club  
(Cnr. North Str. & Rudd Rd., Melrose Ex.)  
w piątek, 8 października 1993 roku o godzinie 19.30*

*Strój: wieczorowy      Wstęp: R\$80 od osoby  
Bilety do nabycia u członków Zarządu STP*

*Dla najlepiej ubranej Pani przewidziana jest  
niespodzianka - kołczyki z 16-karatowego złota  
- ufundowana przez firmę Oskar Cartell*

### ZEBRANIE WYBORCZE STP

Zarząd Stowarzyszenia Techników Polskich w RPA uprzejmie zawiadamia, że walne zebranie wyborcze odbędzie się w niedzielę 1 sierpnia 1993 roku o godzinie 15 w domu pod adresem 167 Frederick Drive, Northcliff Ext. 2, Johannesburg.

Porządek zebrania:

1. Wybór przewodniczącego i sekretarza.
2. Sprawozdanie prezesa za okres od października 1991 do lipca 1993.
3. Dyskusja nad sprawozdaniem.
4. Wybór prezesa i zarządu.
5. Wolne wnioski.

Wszyscy członkowie i sympatycy  
Stowarzyszenia są mile widziani.



# Profile Emigracyjne

## Ucieczka z obozu zagłady pod Kozielskiem

W latach 1937-39 szkoliłem się w sztuce artyleryjskiej w Szkole Podchorążych Artylerii w Toruniu. W październiku 1939 mieliśmy otrzymać upragnione gwiazdki, a w sierpniu tegoż roku pojechaliśmy na ostatnią praktykę, przydzieleni do pułków, w których mieliśmy służyć po promocji oficerskiej. Sytuacja w kraju była bardzo napięta, w wojsku - częściowa mobilizacja. Nasz Komendant Szkoły, płk Sawczyński, żegnając się z nami powiedział, że już na pewno nie wrócimy do Szkoły, a promocje dostaniemy w polu. Tak, słuszne to było przewidywanie, bo Szkołę zobaczyłem 50 lat później w 1989 roku.

Przydzielono mnie do 24. Pułku Artylerii Lekkiej w Jarosławiu. W drodze do Pułku miałem parę dni urlopu, wstąpiłem do domu - co nie było zresztą po drodze - pożegnałem się z ojcem, a następnie udałem się do Warszawy, gdzie zatrzymałem się na kilka godzin, żeby pójść z moją przyrodnią siostrą cioteczną Anką Orpiszewską na dobrą kolację do "Simona i Steckiego" na Widoku.

Następnego dnia byłem w Jarosławiu - po raz pierwszy w życiu - meldując się w Pułku. Dostałem przydział do 2. Baterii, której dowódca por. Pniewski przyjął mnie z otwartymi ramionami. Zawdzięczać to należało nie tylko jego przyjacielskiemu nastawieniu, ale nawałowi pracy w związku z częściową mobilizacją.

Pułk przestawał się na stan wojenny. Tłumy rezerwistów, których trzeba było przeszkolić, a raczej przypomnieć im to, co zdążyli zapomnieć w cywilu. To przeszkolenie zostało mnie powierzone, więc od początku miałem sporo pracy.

Jarosław, przyjemne miasto, duży garnizon, klub-kasyno - było więc gdzie spędzać wieczory wolne od służby. Pułk stanął w pełnej gotowości, wyłonił z siebie pułk mobilizacyjny (bodajże 24. Pułk), który z czasem wyszedł na kwatery do okolicznych wiosek. W lipcu 24. Pułk, zapięty na ostatni guzik, ruszył do rejonu koncentracji. Załadowaliśmy sprzęt do pociągu w Jarosławiu i pojechaliśmy - według oficjalnej informacji - w nieznaną. Ruszyła cała 24. Dywizja Piechoty. Podróż nie trwała długo, bo nasz rejon koncentracji to okolice Tarnowa i Dębicy, gdzie zebrała się Armia Karpaty. Do końca lipca staliśmy w okolicach Dębicy, a w sierpniu przenieśliśmy się w okolice Tuchowa i Brzostka.

Wybuch wojny zastał nas na stanowiskach ogniowych pod Wojniczem. Początkowo niewiele się działo na naszej linii obronnej, oprócz kilku nalotów i to z wysokiego pułapu. Byliśmy właściwie w drugiej linii, gdy początkowe działania wojenne toczyły się na terenie Śląska, a nam groziło uderzenie ze Słowacji.

Styczność z nieprzyjacielem została nawiązana w dniach 2-3 września na kierunku z Nowego Sącza. Pułk przydzielono dywizjonami do poszczególnych pułków piechoty, a baterie do batalionów. Moja funkcja zastępcy oficera zwiadowczego baterii zatrzymała mnie w punkcie obserwacyjnym na wzgórzu na skraju lasu. Byliśmy w okopach, zamaskowani w miarę możliwości, cele i kierunki ognia w terenie były namierzone, konie zwiadu - ukryte w lesie poza nami. Bateria stacjonowała w tyle, jakieś 2 km od nas. W dalszym ciągu naloty powodowały pewne straty, ale nie w mojej baterii. W nocy z 4 na 5 dostaliśmy rozkaz zmiany stanowisk. Dywizjon w marszu ubezpieczonym wpadł na szosie w niewielką zasadzkę ogniową. Dostaliśmy bardzo silny ogień moździerzy i broni maszynowej. Starty były ogromne, zwłaszcza wśród zaprzęgów, na szosie powstały zwały sprzętu, postrzelonych koni, rannych i zabitych ludzi obsługi. Podał mnie postrzelony koń, którego trzeba było dobić.

Właściwie, dywizjon jako taki przestał istnieć, bo straciliśmy większość koni i nie było czym ruszyć dział. W świetle rakiet i reflektorów samochodowych natarły na nas samochody pancerne i piechota. Pozostali przy życiu żołnierze wycofali się. Następnego dnia sprawdziliśmy własne straty. Sytuacja dywizjonu była beznadziejna - brakowało sprzętu, koni, straty w ludziach były duże. Nie było mego dowódcy baterii i oficera ogniowego - nie wiadomo, co się z nimi stało. Nastąpiła reorganizacja, a właściwie likwidacja dywizjonu, część ludzi uzupełniła inne baterie, część została wydzielona i otrzymała rozkaz dotarcia do Tarnowa, a następnie powrotu do Jarosławia i wejścia w skład mobilizacyjnego pułku artylerii. Ruszyliśmy na Tarnów, gdzie mieliśmy złapać transport do Jarosławia. Szedłem bez trudu, bo miałem tylko to, co na sobie, lornetkę i pistolet. Wszystkie inne rzeczy straciłem w nocy, nawet płaszcz przytroczony do siodła. Dotarliśmy do Gumnisk pod Tarnowem. Niemcy byli bardzo blisko i istniała duża możliwość dostania się do niewoli. Licząc się z tym zakopałem swojego visa pod murem ogradzającym siedzibę ks. Sanguszków, nie chcąc oddać go z konieczności Niemcom. W nocy z 7 na 8 uratowała nas z opresji kolumna samochodowa 10. Brygady Pancerniej, zabierając nas na wozy i dowożąc nas do Radymna koło Jarosławia. Mieliśmy wiele szczęścia, bo następnego dnia Tarnów został zajęty przez Niemców.

Dowódca naszego zgrupowania, porucznik rezerwy zameldował nas u dowódcy 45. Pułku ppłka Michałowskiego, w częściowo jeszcze zajętych, bo zbombardowanych koszarach.

Zmobilizowane baterie stanęły po wsiach nad Sanem. Dostaliśmy przydziały, ja znowu do zwiadu, ale dywizjonu, w którym jako zastępca oficera ogniowego spotkałem kolegę z mojej baterii szkolnej w Toruniu - Franka Piaścika. W oddziałach panował bałagan, zmobilizowani ludzie wymagali zgrania i doszkolenia, no co zabrakło czasu i możliwości, a wiadomości z frontu nie podnosiły nastrojów. W nocy z 9 na 10 pułk wyruszył na wschód, w kierunku Brody - Rawa Ruska, z rozkazem dotarcia do rejonu koncentracji w Tarnopolu. Nasz dywizjon szedł pierwszy, a my jako zwiad stanowiliśmy straż przednią.

Nic nie wiedzieliśmy o sytuacji ogólnej, gdzie toczyły się walki, wreszcie, gdzie była nasza cała dywizja. Koło Janowa spotkaliśmy oddziały 11. Dywizji Piechoty - części Armii Gen. Sosnkowskiego, idącego na odsiecz Lwowa. Dowiedzieliśmy się, że częścią składową tej Armii była nasza rodzima 24. Dywizja Piechoty, a raczej jej resztki.

Dnia 17 września rozeszła się wiadomość o przekroczeniu granicy przez Rosjan. Nikt nie potrafił powiedzieć, w jakim celu Krążyły wieści, że Rosjanie przychodzą na pomoc Polakom w walce przeciwko Niemcom. W zwiadzie było nas 3 oficerów i około 20 szeregowych - część konno, reszta na wozach. Dywizjon został w tyle. Nie mieliśmy ani łączności, ani rozkazów, oprócz dotarcia do Tarnopola. Około godziny 16 minął nas na drodze patrol kawalerii rosyjskiej idącej w kierunku na Brody. Przejechali stępą obok nas w odwrotnym kierunku, podoficer prowadzący zasałutował, a żołnierze przyjaźnie machali rękami. Szliśmy dalej, tymczasem ściemniało się i prowadząc szpicę niewiele widziałem.

Zbliżaliśmy się do Tarnopola. Na skraju wsi, której nazwy nie pamiętam, prawie najechałem na szereg jeźdźców stojących w poprzek drogi. Stanęliśmy i natychmiast zostaliśmy otoczeni przez oddział kawalerii rosyjskiej. Po chwili poczułem na piersi lufę rewolweru i usłyszałem słowa "dawaj rugi". Pistolet mój został zakopany w ziemi pod Tarnowem, miałem karabinek wieziony na siodle. Przeciwko lufie cisnącej brzuch nie ma argumentów, oddałem karabin i zaraz nowy rozkaz "na ziemi!". Zsiadłem z konia, zdołałem w juczki wyciągnąć chlebak z przyborami do golenia i setką papierosów (płaskich), kiedy mój Ateusz (koń) został zabrany bezpowrotnie. To był drugi stracony przeze mnie koń. Zabrano nas z drogi na pole, odprowadzono

# Profile Emigracyjne

kilkadziesiąt metrów i kazano siedzieć i milczeć. Siedzieliśmy tak do rana. O świcie dopiero zobaczyliśmy, że byliśmy w licznym towarzystwie. Duże pole, ściernisko, zatłoczone było sprzętem, kołmi, ludźmi; a wszystko otoczone przez wojsko rosyjskie. Zaraz na wstępie oddzielono oficerów od szeregowych i przeprowadzono dość powierzchowną rewizję, nie pozwalając na ruszanie się z miejsca gdzie siedzieliśmy.

A siedzieliśmy tak aż do wieczora. Już o zmroku ruszono nas z miejsca i sformowano kolumnę marszową ("podawaj po czterech"), która otoczona eskortą kawaleryjską ruszyła w drogę. Maszerowaliśmy całą noc do Zbaraża, gdzie pod miastem staliśmy w polu przez dzień, i tu po raz pierwszy dano nam trochę chleba - bodajże bochenek na pięciu, kawałek rąbanego cukru oraz umożliwiono nam nabranie wody. Marsz nocny stwarzał możliwość ucieczki, ale człowiek był tak przybity i otumaniony biegiem wypadków, że o niczym nie myślał, tylko stawiał nogę za nogą, przynaglany krzykami eskorty "dawaj, dawaj w pieriod".

Następnej nocy ruszyliśmy dalej, aby nad ranem przekroczyć granicę Polski i znaleźć się na terenie Rosji w Podwołoczyskach. Umieszczono nas w pustych oborach hodowli bydła; musiało być tam dobre kilka tysięcy ludzi, wojska cywilów, kobiet i mężczyzn. W dalszym ciągu podawano tylko chleb, cukier i tym razem gorącą wodę.

Siedzieliśmy w tych oborach przez parę dni, już nie pamiętam ile, aby wreszcie zostać załadowanymi do pociągu towarowego udającego się w głąb Rosji. Podróż trwała parę dni z licznymi postojami, w czasie których wypuszczano nas z wagonów - dla załatwienia potrzeb i nabrania gorącej wody, której krany były na każdej stacji.

Przybyliśmy do Kijowa. Transport nasz został wyładowany, przeprowadzony uroczyście przez miasto, główną ulicą (bodajże Kreszczitko), na nowo załadowany do wagonów i skierowany dalej. Już następnego dnia przybyliśmy do celu. Myśleliśmy, że małe miasteczko Tiotkina (koło Putiwła) stanie się naszym miejscem pobytu. Ale nie był to koniec naszej wędrówki.

Wsadzono nas do odkrytych wagonów kolejki wąskotorowej i znów dalej, już tylko 15 km, do obozu. Zobaczyliśmy baraki dla sezonowych robotników kopiących torf, wybudowane na torfowiskach, sklecone z desek, kryte strzechami z trzciny, otoczone wysokim płotem z drutów kolczastych, z wieżyczkami strażniczymi po rogach, główna brama była zamknięta i strzeżona. Przydzielono nas do baraków, pustych, bez prycz, łóżek czy nawet słomy do spania. Było tak ciasno, że spać

zna było tylko na boku, a obracać się na drugi bok na komendę. Pierwszym gorącym posiłkiem była zupa z soczewicy zaprawiona olejem słonecznikowym. To było nasze jedyne i zasadnicze danie w ciągu dnia przez cały czas pobytu w niewoli, plus bochenek czarnej gliny zwanej chlebem, jeden na pięciu, oraz trochę cukru. W obozie zgromadzono: oficerów, szeregowych, policjantów, kolejarzy, cywili, a nawet kilkanaście rodzin z kobietami i dziećmi; między innymi, poznane wcześniej w Warszawie, matka i siostra mojego kolegi ze Szkoły Podchorążych w Toruniu, Ludwika Kłobukowskiego.

Siedzieliśmy w tym obozie, o ile pamiętam, do przełomu września i października, nic nie robiąc, oprócz prac obozowych, które wykonywali tylko oficerowie. Sprzątanie obozu, kuchni i latryny, zbieranie - pod eskortą strażników - odpadków torfu do palenia i gotowania w kuchniach. Nie wiedziałem wówczas, że zbieranie torfu będzie moją drogą do wolności. Wieczorami pokazywano nam filmy propagandowe, a w ciągu dnia wywoływano na mityngi - odczyty o Rosji i komunizmie. Życie było znośne, ale głodne, chłodne i beznadziejne. Pod koniec września wywieziono rodziny - jakoby do Polski. Było to prawdą, bo obie znajome panie zobaczyłem znowu w listopadzie w Warszawie.

Bodajże na początku października wydzielono oficerów i podchorążych, załadowano na kolejkę i wysłano z powrotem do Tiotkina, a następnie marszem do miejsca postoju w Glińskim Monastyrze, położonym w byłym klasztorze o kilka kilometrów od miasta Glińsko. Na wzgórzu, znów wśród torfiastych łąk stały, otoczone murem zabudowania klasztoru. Dużą cerkiew przy bramie wejściowej zamieniono na magazyn zboża. Dookoła prostokątnego placu stały budynki poklasztorne oraz szereg nowowyprowadzonych drewnianych baraków. Obóz był już pełen oficerów przybyłych z innych transportów i miejscowości. Brakowało miejsca, więc przydzielano po dwie osoby na pryczę (wyposażono baraki w takowe oraz słomę). Moim towarzyszem na pryczy był starszy ode mnie ponad 10 lat porucznik rezerwy rodem z Warszawy, inżynier w cywilu, Władek Stępień, zmarły w 1991. Życie w nowym obozie było podobne do życia w poprzednim. Zaczęły się przesłuchania, na które wołano nas pojedynczo do komendy obozu. Korzystano często z usług tłumaczy.

## Ucieczka

Właściwie to jestem dłużnikiem niemieckiej firmy "Pelikan", producenta wiecznych piór i ołówków. Taki zestaw miałem ze sobą - złote pióro z małym rezerwuarem na atrament oraz ołówek. Któregoś dnia zauważył to u mnie oficer rosyjski ze straży obozowej, bardzo mu to wpadło w oko i koniecznie chciał kupić. Początkowo nie chciałem sprzedać, bo pieniądze w obozie były bezużyteczne, ale z czasem zmieniłem zdanie. Któregoś wieczora dyskutowaliśmy w gronie mieszkańców naszego baraku możliwość ucieczki i zdaniem większości to przedsięwzięcie było niemożliwe z braku pieniędzy, ubrań cywilnych i znajomości języka. Tymczasem w połowie października Rosjanie wydali ubrania cywilne, tzw. fufajki, czyli watowane bluzki i spódnice, którzy byli w mundurach drelichowych. Temat ucieczki był częstym tematem rozmów między Władkiem a mną, aż pewnego dnia postanowiliśmy zaryzykować.

Plan zakładał sprzedaż wszystkiego, a więc mojego pióra i zegarka Władka, wymianę mundurów na fufajki za dopłatą oraz wydostanie się z obozu. Liczyliśmy, że jeżeli nas złapią, to najwyżej ukarzą zamknięciem do kryminału, który istniał na terenie obozu. "Starszyna" kupił mój zestaw za 250 rubli. Władek sprzedał zegarek za 200 rubli. A, że w międzyczasie otworzono w obozie sklepik, gdzie czasem były papierosy, papier listowy i woda kolońska, więc nasz handel nie zdziwił nikogo. W końcu października mieliśmy fufajki, zapas chleba i cukru, a nawet po jednym śledziu, ze specjalnej racji wydawanej dla uczczenia rewolucji październikowej. Wyjście z obozu możliwe było przez włączenie się do partii roboczej wychodzącej codziennie rano na zbieranie torfu. Początkowo te grupy robocze były dość ściśle liczone i strzeżone przez szereg eskortantów ("bojców"). Wychodziła grupa złożona z kilkunastu par, z których każda niosła skrzynię z dwoma drągami, tak jakby nosze. Z biegiem czasu ilość eskortantów i ich uwaga uległy znacznemu zmniejszeniu.

Wszystkie nasze plany były meldowane i uzgadniane z komendantem naszego baraku, majorem kawalerii tak, że mieliśmy zapewnioną ochronę w czasie apelu i ub innego sprawdzania obecności. Wreszcie na początku listopada, bodajże 3 wybita godzina. Wyszliśmy z obozu rano na zbieranie torfu w grupie eskortowanej przez 5 "bojców". Podczas zbierania torfu powoli odsuwaliśmy się od grupy zbierających. Zaszliśmy się w szuwarach i z duszą na ramieniu doczekaliśmy się krzyków "dawaj nazad", co było hasłem do powrotu. Grupa zebrała się i pomaszerowała w kierunku klasztoru niosąc parami zaszytą torfu. Siedzieliśmy w trzcinał długi, licząc się z możliwością odkrycia naszej nieobecności. Mieliśmy zamiar tłumaczyć się, że zasnęliśmy w szuwarach - groziło to najwyżej

# Profile Emigracyjne

kryminałem. Ale minęło parę godzin, wieczór się zbliżał, a cisza była zupełna. Wyruszyliśmy w kierunku Glińska. Doszliśmy już wieczorem, znaleźliśmy stację kolejową i Władek mówiący biegle po rosyjsku (jako chłopak chodził do szkoły gdzieś w Rosji) poszedł kupić bilety do Kijowa. Dostał je bez trudu. Pociąg przyjechał gdzieś koło 10 zatłoczony, słabo oświetlony i w przedziale tzw. twardym przytulił nas obojgu. Władek, ja, normalny pasażer (ja z twarzą obwiązaną brudnym kawałkiem ręcznika jako "bolnyj od zuba"). Niby śpiąc, a właściwie ciągle czekając na wpadkę, bez żadnego kłopotu dojechaliśmy rano do Kijowa. Zapomniałem wspomnieć, że przed wyjściem z obozu wziąłem kilka nazwisk i adresów towarzyszy niedoli z baraku, aby ewentualnie zawiadomić ich rodziny (między innymi komisarza policji w Sarnach - Wierzbickiego). Przydało nam się to później zupełnie niespodziewanie.

A więc rano dojechaliśmy do Kijowa, po raz drugi w ciągu dwóch miesięcy. Ruszyliśmy ze stacji w głąb miasta, spędzając większość czasu w parku nad Dnieprem, a nawet pozwoliliśmy sobie na poczęstunek w "Czajhana". Wieczorem z powrotem na dworzec, bo po naradzie doszliśmy do wniosku, że trzeba dalej podróżować pociągiem. Stacja była zatłoczona, przed kasami biletowymi oznaczonymi nazwami stacji docelowych ustawily się długie kolejki. Zobaczyliśmy, że każdy pasażer z kolejki udających się na Korosten pokazuje jakieś papiery. Nie wiedzieliśmy, że była to słynna "komandirówka", czyli pozwolenie na podróż do strefy przygranicznej, bo mimo zajęcia tych terenów przez Rosjan, przepisy przygraniczne w dalszym ciągu obowiązywały. Całe szczęście, że Władek nie próbował kupić biletów. Kręciliśmy się po stacji jednak zbyt długo, co, jak nam się zdawało, zwróciło uwagę chyba milicjanta. Miał czapkę z zielonym denkiem i przyglądał się nam badawczo. A, może "na złodzieju czapka gore", woieliśmy jednak przynajmniej chwilowo zniknąć z pola widzenia. Wyszliśmy ze stacji i ulicą wzdłuż torów, po ciemku prawie, bo oświetlenie było słabe, widać przez szpary, że jesteśmy na wysokości stacji towarowej, przeskoczyliśmy płot i znaleźliśmy się między wagonami, szukając ewentualnego schronienia na noc. W pewnym momencie Władek złapał mnie za ramię mówiąc "patrz". Zobaczyłem w składzie pociągu towarowego otwartą torę z wysokimi bokami, załadowaną deskami i jakimś innym ładunkiem.

– Na co mam patrzeć? – pytam.

– Popatrz, tam napisane - Sarny.

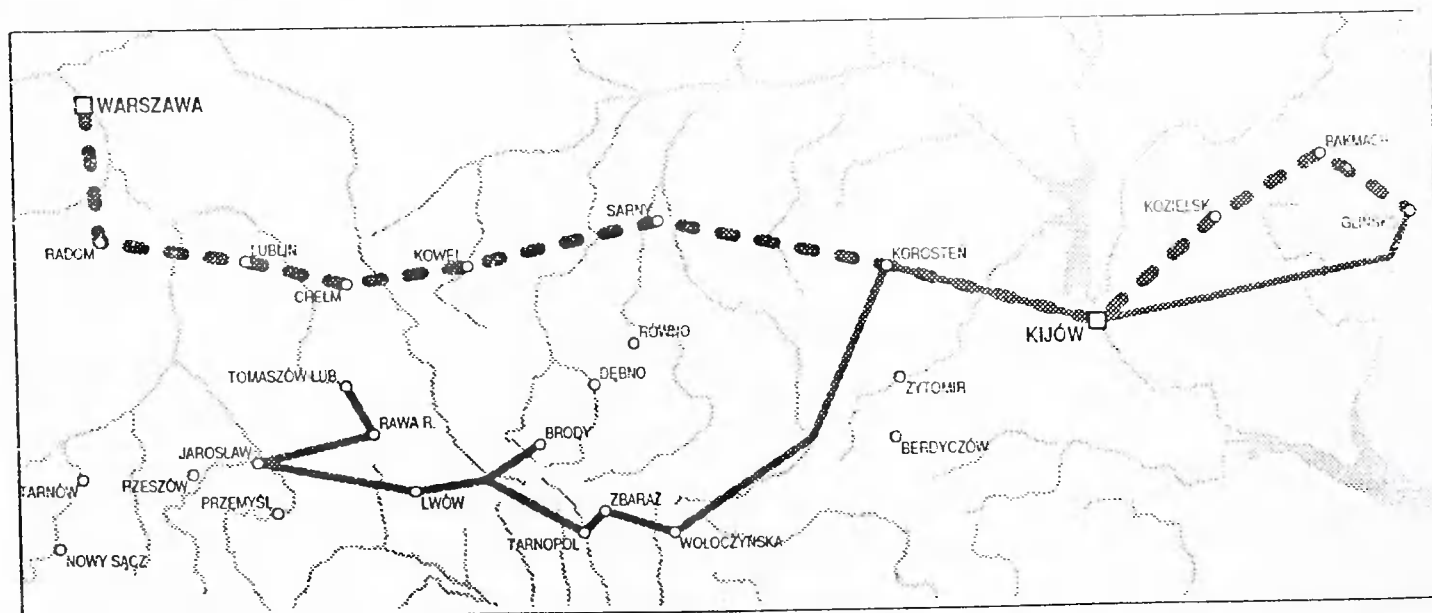
– Widzę, że coś jest napisane kredą na ścianie wagonu, ale ja nie "gramotny", więc nie wiem – mówię do Władka – nie bądź głupi, to nie mogą być nasze Sarny.

– A, może są – on na to.

– Przecież u nas inna szerokość torów – wytaczam najcięższy argument, nie wiedząc, że Rosjanie zdążyli już poszerzyć tory do samej linii demarkacyjnej.

Schowaliśmy się pod torę i sprzecaliśmy się. Władek chciał wleźć na torę, ja - nie. Wreszcie głosy ludzkie i fakt dołączenia parowozu do "naszego" pociągu, zmusiły nas do podjęcia decyzji. Weszliśmy na torę, szczęśliwie dość chaotycznie załadowaną. Schowaliśmy się wśród desek, drutu kolczastego i jakichś pak. Po chwili pociąg ruszył, dla nas w nieznaną. Całą noc, dzwoniąc zębami jechaliśmy, zatrzymując się parę razy. Rano był dłuższy postój; Władek powiedział "Jesteśmy w Korosteniu" (dawna stacja pograniczna). Pod wieczór dotarliśmy do stacji docelowej Sarny. Jak tylko się ściemniło przysnęliśmy z pociągu do miasta.

I tu na widowni pojawiła się rodzina współwięźnia, komisarza policji. Odszukaliśmy dom, przez ogrody weszliśmy na podwórze i zapukaliśmy do tylnych drzwi. Wyszła starsza pani (matka żony) i po pewnych trudnościach wpuściła nas do środka. Siedzieliśmy tam dwa dni, otoczeni opieką, ubrani w cywilne ubrania i wreszcie włączeni do pociągu "bieżeńców", czyli uciekinierów z centralnej Polski we wrześniu, teraz wracających do zaboru niemieckiego. Przez Kowel dojechaliśmy do rzeki Bug pod Chełmem, gdzie przebiegała granica demarkacyjna. Tu przez niemiecki most pontonowy przeszliśmy na drugą stronę i razem z innymi młodszymi mężczyznami zostaliśmy zabrani przez Niemców. Na nasypie kolejowym stał pociąg, złożony z wagonów towarowych, do których z niemiecką dokładnością ładowano po 40 osób. Otwierano drzwi na chwile wsiadających otaczał kordon eskorty, po czym drzwi zasuwaną zamykano. Niedługo potem ruszyliśmy w drogę. W wagonie ludzie rozsiedli się na podłodze wagonu - było dość ciasno. Jechaliśmy do późnego popołudnia, bez przerwy, aby zatrzymać się krótko w Lublinie. Kto chciał, mógł wysiąść na drugą stronę peronu. Kordon znowu pilnował nas, żeby nikt nie przekroczył linii sąsiedniego peronu. O zmroku dojechaliśmy do Radomia. Kazali wysiąść i ustawieni w kolejkę poszliśmy do kuchni polowej na peronie, gdzie rozdawali gorący posiłek. Kuchnia była obsługiwana przez Polki. Gdy podszedłem po swoją porcję jedna z nich zapytała:



# Profile Emigracyjne

– Gdzie rodzina? Damy znać.

Naiwnie odpowiedziałem:

– Po co, przecież nas wkrótce wypuszczą.

Obrzuciła mnie dziwnym spojrzeniem i nic nie powiedziała.

Na stacji kręcili się polscy kolejarze w mundurach. Podeszedłem do jednego i zapytałem:

– Panie, dokąd ten pociąg jedzie?

A, on:

– Do Niemiec.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie, ale pytam dalej:

– A, gdzie najlepiej skakać?

– Między Suchedniowem a Zagańskiem pociąg zwalnia pod górę, z obu stron las.

Podziękowałem i wróciłem pod nasz wagon, zawołałem Władka i powtórzyłem rozmowę z panią z kuchni i kolejarzem. Krótka decyzja, po stwierdzeniu, że wysoko położone okno wagonu było otwarte. Trudnością było, że wagon miał budkę hamulcową, a w niej stał żołnierz niemiecki. Już po ciemku ruszyliśmy z Radomia do Skarżyska. Drzwi były zamknięte, ale my postanowiliśmy wydostać się przez okno. Zwróciłem się do towarzyszy podróży

– Panowie, pociąg idzie do Niemiec - my we dwóch wyskakujemy.

Wstała ożywiona dyskusja, jeden z pasażerów powiedział

– Panowie, nie możecie uciekać, bo Niemcy wiedzą, że jest nas 40.

Nie pomagało żadne przekonywanie, póki jakiś facet zwrócił się do przeciwnika ucieczki i w niedwuznacznych słowach kazał mu się przymknąć

– Jeśli ci się nie podoba, to możesz też skakać.

To zamknęło dyskusję.

Za chwilę pociąg zwolnił, słychać było jak parowóz ciężko pracuje. Miałem wyjść pierwszy. Podesadzony przez innych wyszedłem jakoś przez okienko nagami naprzód, spuściłem się na rękach i wreszcie znalazłem się nogami na buforach i stopniu wagonu. Po chwili Władek stanął koło mnie. Pożegnaliśmy się i daliśmy susa w ciemności. Pociąg szedł po nasypie, rąbnąłem w ziemię i zamarłem w bezruchu, czekając na strzały eskortanta. Nic się nie działo, a tylko wagony mijaly mnie jeden po drugim. Wreszcie, po upływie niemal wieku - zobaczyłem ostatni wagon i czerwone latarnie.

– Władek, Władek! – zawołałem półgłosem

– Tutaj jestem – usłyszałem po chwili i zobaczyłem, jak nadchodzi. Padliśmy sobie w ramiona, wydostaliśmy się na nasyp i zniknęliśmy w lesie. Przeszliśmy parę kilometrów, nie widząc nikogo tak, że nie wiem, czy ktoś inny wyskoczył.

Wreszcie wyszliśmy na skraj lasu, doszliśmy do samotnej cnalupy, gdzie pozwolono nam przemocować w stodole. Szliśmy cały dzień i pod wieczór, w jakiejś wsi pod Radomiem poprosiliśmy o nocleg. Przyjęto nas, nakarmiono, i gdy tak kręciliśmy się po zagrodzie, wjechało na podwórko działo niemieckie z czterema żołnierzami. Bateria czy dywizjon artylerii przybył do wsi na kwaterę. Podoficer pokazał nam na migi, żeby pomóc z odprężeniem i rozobraniem koni, daniu słomy na klepisko w stodole, gdzie miały nocować. Wziąłem parę koni, wprowadziłem do stodoły i zacząłem zdejmować uprząż. Czynność, którą w Podchorążówce we Włodzimierzu, czy w Toruniu robiło się setki razy z zamkniętymi oczami.

Wykonywałem to automatycznie, zapomniawszy, gdzie byłem i dla kogo to robiłem. Poczulem na sobie badawczy wzrok i zobaczyłem, że szwab bardzo mi się przygląda.

– Soldaten? – zapytał.

– Nie ma co bujać – pomyślałem i odpowiedziałem – Ja, artillerie.

– Ja, ja sehr gut.

Myślałem, że mnie zamkną. Ale, nie! Wieczorem siedzieliśmy w izbie gospodarza, nas dwóch i czterech szwabów. Łamana rozmowa, niemieckie papierosy i polska wódka. Rano pomaszzerowaliśmy dalej. Było to 11 listopada i choć chcieliśmy

ić dalej, odradzono nam ze względu na rocznicę święta narodowego i wzmożoną czujność Niemców. Następnego dnia gospodarz podwiózł nas końmi do Radomia, a stamtąd niemiecką ciężarówką dojechaliśmy do Warszawy.

W osiem dni przedostaliśmy się spod Putiwa do Warszawy; bez papierów, bez języka (przynajmniej ja), we wrogim kraju. Nie było w tym nic przygotowanego ani nawet planowanego. Najmniejsze poślizgnięcie skończyłoby się katastrofą. Jeśli do tego nie doszło, to tylko dzięki Opiece Boskiej, a może twierdzeniu, że często w życiu łut szczęścia jest lepszy i ważniejszy od funta rozumu.

Włodzimierz Strzałkowski

## PROMETHIDION (fragment)

– Spytam się tedy wiecznego-człowieka,  
Spytam się dziejów o spowiedź piękności:  
Wiecznego człeka, bo ten nie zazdrości,  
Wiecznego człeka, bo bez żądzty czeka,  
Spytam się tego bez namiejętności:  
"Cóż wiesz o pięknem?..."

... "Kształtem jest Miłości" –  
On mi przez Indy – Persy – Egipt – Greków –  
Stoma języki i wiekami wieków,  
I granitami rudymi, i złotem,  
Marmurem – kością słoniów – człeka potem,  
To mi powiada on Prometej z młotem.

Kształtem miłości piękno jest – i tyle,  
Ile ją człowiek oglądał na świecie,  
W ogromnym Bogu albo w sobie-pyle,  
Na tego Boga wystrojonym dziecie;  
Tyle o piękniem człowiek wie i głosi –  
Choć każdy w sobie cień pięknego nosi  
I każdy – każdy z nas – tym piękna pyłem.  
Gdyby go czysto uchował w sumieniu,  
A granitowi rzekł: "Żyj, jako żyłem" –  
Toby się granit poczuł na wyjrzeniu,  
I może palcem przecierał powieki,  
Jak przebudzony mąż z ziemi dalekiej...  
Lecz to z granitu bryła ten by zrobił,  
A inny z tęczy kolorem na ścianie,  
A inny drzewa by tak usposobił,  
Żeby się dłońmi splotły w rusztowanie;  
A jeszcze inny głosu by kolumnę,  
Rzucając w psalmy akordów rozumne,  
Porozpowijał jak rzecz zmartwychwstałą,  
Co się zachwyca w niebo: słaby dusza  
Tam – tam – a płótno na dół by spadało,  
Jako jesienny liść, gdy dojrzy grusza.

Więc stąd to – stąd i słuchacz, i widz jest artystą,  
Lecz prymem ten, a owy niezbędnym chórzystą;  
Więc stąd chórzysta w innej prymem jest operze,  
A prym – chórzystą-widzem w nie swej atmosferze;  
I tak się śpiewa ona pieśń miłości dawna,  
Nieznaną raz, to znowu sławna i przestawna...

I – dość: niech "słuchacz w duszy swej dośpiewa".

Cyprian Kamil Norwid

## Wspomnienia plk. Strzałkowskiego

Udział w kampanii wrześniowej skończył się dla mnie z przyjazdem do Warszawy w dniu 13 listopada 1939 roku. W Warszawie udałem się do przyjaciół rodziny pp. Jakubowskich na ulicy Nowogrodzkiej, gdzie przyjęto mnie i mimo ciężkich warunków otoczono opieką i gościną. Tam też dowiedziałem się o śmierci ojca, aresztowanego przez Niemców, wywiezionego do Obornik i tamże rozstrzelanego, razem z innymi naszymi sąsiadami. Powodem aresztowania ojca było to, że był on bardzo mocno zaangażowany w Towarzystwie Ochrony Kresów Zachodnich. Warszawa częściowo zburzona oblężeniem wywierała przykre wrażenie, a ja sam byłem zgubiony, nie byłem w nastroju do przypominania sobie starych dobrych czasów.

Po paru dniach ktoś zapukał do drzwi, otworzyłem i wszedł mój stary, stary przyjaciel, z czasów podchorążackich, on był w Grudziądzu w szkole podchorążych artylerji, w tym samym czasie, gdy ja byłem w Toruniu. Janusz Wiązowski, podporucznik II pułku szwoleżerów w Starogardzie, w czasie akcji dostał się do niewoli niemieckiej, był wywieziony na zachód do Niemiec, wyskoczył z pociągu, uciekł i przyszedł do Warszawy. Radość obustronna była wielka i następnych parę dni spędziliśmy na opowiadaniu swoich wrażeń wojennych. Doszliśmy obaj do wniosku, że raczej powinniśmy przedostać się do Francji, skąd dotarły wiadomości o tworzeniu się oddziałów polskich pod dowództwem gen. Sikorskiego.

Żeby tego dokonać trzeba było nawiązać łączność z tworzonym w Warszawie podziemiem, późniejszą Armią Krajową. Powiedziano nam, że powinniśmy pojechać do Krakowa, gdzie kazano nam się zgłosić pod wskazanym adresem przy ulicy Rakowickiej. Musieliśmy przedostać się na dworzec w Warszawie, wsiaść do pociągu i dojechać do Krakowa. Godzina policyjna obowiązywała w Warszawie o godzinie 7, trzeba było być na dworcu przed tą godziną, a pociąg odchodził dopiero o dwunastej w nocy. Było to przedsięwzięcie bardzo ryzykowne, bo nie mieliśmy żadnych papierów, a poza tym byliśmy uzbrojeni, bo Zosia Jakubowska dała nam dwa pistolety oraz dwa granaty ręczne, pozostawione przez rozbrajane na jej podwórze oddziały polskie.

Stało się tak, jak planowaliśmy. O godzinie 7 byliśmy na dworcu, bez żadnego ekwipunku, zaczęło się oczekiwanie na pociąg, przy czym nie zdawaliśmy sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie nam groziło na wypadek zatrzymania przez patrol niemiecki. Szczęśliwie pociąg nadjechał o godzinie 12, nie udało nam się zająć miejsc w III klasie, tak jak mieliśmy wykupione bilety, tłok był niesamowity, a więc z fasonem wsiedliśmy do wagonu II klasy.

W przedziale siedziała jakaś samotna pani, zajęliśmy miejsca, pistolety i granaty schowaliśmy pod siedzeniami. Nie udało nam się tego zrobić tak, żeby ona nie zauważyła i że zgrozę patrzyła się na nas. Potem okazało się, że miała dużo fantazji, była to żona jednego z oficerów, który dostał się do niewoli niemieckiej. Spokojnie dojechalśmy do Krakowa, po całej nocy jazdy. Dzięki temu, że był szalony tłok, konduktor nawet się nie zjawił, żeby sprawdzić bilety, a zresztą byli to w dalszym ciągu polscy konduktorzy. W Krakowie zabraliśmy po walizce tej pani, która była z nami w przedziale, przeszliśmy przez kontrolę biletową, na której byli już zresztą Niemcy, wyszliśmy z dworca, pożegnaliśmy się z naszą współtowarzyszką podróży i pojechaliśmy tramwajem na ulicę Rakowicką, tam gdzie mieliśmy się zgłosić.

Nie zastaliśmy nikogo, nie mieliśmy możliwości zgłosić się do nikogo. Nie dziwiliśmy się temu, bo musiały być zapewnione jakieś środki ostrożności. Jak niepyszni wróciliśmy do miasta, zastanawiając się co robić dalej, bo dzień kończył się i trzeba było znaleźć schronienie. Poszliśmy na Rynek, a potem z Rynku ulicą Szewską, na której po lewej stronie blisko Plant był zakład fryzjerski.

Co mnie tknęło, nie wiem, powiedziałem do Janusza: "Słuchaj, ja idę się ostrzyć." On na to: "Cóż, tyś zwariował? Strzyć się teraz będziesz? Luluś, znalazł się elegant." Ja powiedziałem: "Możesz sobie gadać, co chcesz, ja idę się ostrzyć." Wszedłem do zakładu fryzjerskiego, Janusz, jak niepyszny wszedł za mną, usiadłem na fotelu, fryzjer zaczął mnie strzyć - "A, skąd panowie jesteście?". Odpowiedziałem: "Właśnie przed paroma godzinami przyjechalśmy z Warszawy". "Szkoda, że nie przywieźliście mydła, bo w Krakowie jest krucho z mydłem".

Tutaj muszę wrócić do czasu, gdy Szkoła Podchorążych Artylerji przechodziła kurs narciarski w Poroninie koło Zakopanego. Na kursie tym, jako jeden z zaawansowanych, bo już wcześniej jeździłem na nartach, wpadłem do wąwozu i zламаłem obie nogi. Zawieziono mnie do Krakowa, położono w szpitalu oficerskim na Wrocławskiej, gdzie spotkałem polamanego na przeszkodzie podporucznika krakowskiego pułku ulanów i polamanego w wypadku motocyklowym porucznika baonu saperów. Do tego drugiego, prawie codziennie przychodziła z wizytą jego narzeczona, Elżunia (nazwiska nie pamiętam) - córka krakowskiego fabrykanta mydła. Leżałem tam dosyć długo, zawiązała się przyjaźń pomiędzy mną, choć byłem tylko podchorążym, i oficerami, oraz siłą rzeczy również z Elżunią.

Siedząc na tym fotelu fryzjerskim powiedziałem: "Jak to nie macie mydła, przecież w Krakowie jest fabryka mydła". "Fabryka była, ale teraz jej nie ma, bo zbombardowali ją Niemcy w czasie oblężenia Krakowa". "Co za zbieg okoliczności, ja znam córkę właściciela tej fabryki". "Proszę pana, ona jest naszą klientką". Mnie zamurowało. "Czy pan mi może dać jej adres?". "Ja nie mam adresu, ale paniuszka, która ją czesze może będzie miała. Niech pan zaczeka, ja pójde i się spytam".

Po drugiej stronie zakładu był oddział damski, poszedł i wrócił po chwili uśmiechnięty: "Ale pan ma szczęście, ta pani właśnie się czesze!". Zerwałem się z fotela, poszedłem na drugą stronę i zobaczyłem Elżunię. Tak jak byłem, w tym białym prześcieradle, zwróciłem się do niej: "Na pewno mnie nie poznajesz i nie pamiętasz". Po chwili poznała mnie, mimo, że byłem wyciągnięty na twarzy po "przyjemności" pobytu w Rosji. Zaczęła się przyjemna rozmowa, zabrała nas do siebie, do mieszkania na al. Mickiewicza, zaopiekowała się nami, wprowadziła w kontakt z podziemiem, oddaliśmy jej broń, którą przywieźliśmy z Warszawy, ale Janusz zatrzymał swój pistolet, który zresztą później bardzo się przydał.

Zaczęliśmy się zastanawiać, jak dalej podążać z Krakowa. Narzeczona namówiła nas na marszrutę na Krynicę-Tylicz, Bardziów, Ruś Przykarpaczką, Uszhorod i dalej do Budapesztu. Tak też stało się. W czasie pobytu w Krakowie pojechałem do Tarnowa, aby znaleźć mój wis, który zakopałem w tamtych okolicach (była o tym mowa w części pt. Ucieczka z obozu zagłady). Wsiedliśmy do pociągu w Krakowie, wieczorem dojechalśmy do Krynicy, już po godzinie policyjnej, po ciemku, zima tam była dosyć ostra, pełno śniegu.

Kiedy zastanawialiśmy się, co dalej robić, powiedziałem do Janusza: "Na ulicę Pułaskiego, na której Kiepura miał słynną Patrię, jest zajazd akcji katolickiej, chodźmy tam, może uda się coś zrobić". Przyszliśmy pod budynek akcji katolickiej, było ciemno, glucho, nie było nikogo. Staliśmy tam dość bezradnie w cieniu tego budynku. Popatrzyłem, a tu ulicą z góry schodziła jakaś para, pani i pan. Powiedziałem do Janusza: "Czekaj". Kiedy podeszli na naszą wysokość uklonilem się i zwróciłem się do nich: "Proszę państwa, dwóch polskich oficerów stara się przedostać na Węgry, a potem dalej, do Francji. Ci dwaj oficerowie, to ja i mój towarzysz, tam stojący. Szukamy dachu nad głową i opieki na parę dni". Pan przyjrzał się nam badawczo, ale nie czekając długo powiedział: "Niech panowie idą za nami".

Tak doszliśmy do willei stojącej przy ulicy Pułaskiego, weszliśmy do środka. Zupełnie nam nieznani ludzie, narażając własne głowy, trzymali nas tam parę dni. Pomogli nam nawiązać łączność z Ieńniczym w Tyliczu, na granicy polsko-słowackiej. Przewieźli nas końmi do Tylicza i tylko dzięki ich niewymownej serdeczności udało nam się przebyć ten odcinek naszej wędrówki.

## Buławy pod Kilimandżaro

Nocowaliśmy u leśniczego w Tyliczu, aby przed świtem, pod jego przewodnictwem, ruszyć w stronę granicy. Wyszliśmy poza wieś, leśniczy zatrzymał się i powiedział: "Popatrzcie panowie, tamten skraj lasu, po drugiej stronie tej polany, to już Słowacja. Przejdźcie tamtędy i stamtąd na drogę, która prowadzi do Bardiowa na Słowacji". Pożegnaliśmy się z leśniczym, który jeszcze wcześniej nam powiedział: "Uważajcie jednak, bo zdrażają się patrole na granicy".

Przeszliśmy przez polanę, noc była stosunkowo widna, chociaż niebo było zachmurzone. W środku polany była mała kępa krzaków. Gdy doszliśmy do niej, wyskoczyło dwóch mężczyzn z okrzykiem "Stój! Ręce do góry!". Zobaczyliśmy karabiny skierowane w naszą stronę. Mieli na sobie polskie mundury, ale na rękawach jakieś opaski. "Dokąd idziecie? Coście za jedni?" Podnieśliśmy ręce do góry, ale w rękawach trzymaliśmy pistolety; kiedy szliśmy z rękami opuszczonymi, lufy pistoletów spoczywały na dłoniach. Gdy podnieśliśmy ręce pistolety zjechały na wysokość łokci. Jeden z nich trzymał nas na muszce karabinu, drugi nas obmacał, szczęśliwie nie po rękawach.

Nic nie znalazł, zaczęło się badanie: "Dokąd idziecie? Wy, tacy owacy, oficerowie, uciekacie, ale my was odstawimy zaraz do Niemców". Staraliśmy się im wyperswadować, że nie jesteśmy żadnymi oficerami, ani nie uciekamy, tylko idziemy na Słowację, żeby kupić skóry i w ten sposób po przywiezieniu do Polski zarobić parę groszy. Trwała rozmowa, a w zasadzie sprzeczka, bo oni nie wierzyli nam, ale w międzyczasie już opuścili karabiny, ja wyjąłem papierosy i poczęstowałem ich.

Okazało się, że byli to Ukraińcy, a właściwie Łemkowie, którzy zamieszkiwali okolice Krynicy, występujący się Niemcom. Staraliśmy się wyperswadować im, żeby nas wypuścili, że jak będziemy wracać, to im damy skóry, że żadna krzywda nikomu się nie dzieje, ale oni byli uparci i chcieli nas zaprowadzić na placówkę niemiecką.

Nie było innego wyjścia, ja miałem już swój pistolet w ręku, zastrzeliłem jednego, drugiego - Janusz. Padli obydwoje, do środka pomiędzy nich, Janusz wsadził granat, a my pędem uciekliśmy w kierunku słupków granicznych, które stały na skarpie, po stronie słowackiej był spadek terenu. Koziołkując zjechaliśmy po śniegu na dół, a potem pędem przez pola do drogi.

Omiłaliśmy wioski po drodze i szczęśliwie, bez żadnych kłopotów dojechaliśmy do Bardiowa. Bardiów, małe miasteczko po stronie słowackiej, gdzie zgodnie ze wskazówkami, danymi nam w Krakowie, mieliśmy się zgłosić na plebanię do miejscowego proboszcza.

Właściwie w głupi sposób zrobiliśmy to, bo zamiast podejść od tyłu, wpakowaliśmy się z frontu do domu, zapukaliśmy do drzwi, wyszedł ksiądz, ja mu powiedziałem kim jesteśmy, a ten krzykiem na nas: "Wynoście się, my was tu nie potrzebujemy, dla co wy mnie narażacie?". W ogóle nie chciałem z nim rozmawiać, nie było mowy o żadnym spoczynku czy pomocy w dalszej wędrówce. Wreszcie ja nie wytrzymałem i powiedziałem mu parę gorzkich słów prawdy, nie hamując bardzo języka, co go trochę zdetonowało i powiedział: "Idźcie na rynek, do cukierni żydowskiej, zgłoście się tam, oni wam na pewno pomogą" i zamknął nam drzwi przed nosami.

Udaliśmy się tam, weszliśmy do środka, usiedliśmy przy stoliku, podeszła do nas właścicielka, Żydówka: "A, panowie skąd?" - po polsku, co dowodziło, że nasz wygląd zdradzał nas. "Niech panowie idą ze mną" - wyprowadziła nas z frontowego pokoju, gdzieś na tyły, do jakiegoś pokoiku. Tam powiedzieliśmy wprost, jaki był nasz cel, skąd wzięliśmy się. Stwierdziła: "Niech panowie posiedzą, zobaczymy, co się da zrobić".

Rzeczywiście dało się zrobić bardzo dużo, bo już następnego dnia, po przenocowaniu, wsadziła nas ta żydowska koniółka w samochód i w towarzystwie dwóch młodych Żydów dowiozła nas na samą granicę węgierską, a właściwie na granicę tzw. Rusi Przykarpackiej (Czerwonej) do miejscowości Nagi Kaposz.

cdn.

Pies zaśnie i szmerów nie usłyszy, a gęś usłyszy najłżejszy. Z dobrym skutkiem przekonali się już o tym w starożytnym Rzymie. Praprawnuk kanclerza wielkiego litewskiego, Eugeniusz Sapieha z linii kodeńskiej zostawia na noc gęsi w klatce umieszczonej na środku trawnika przed posiadłością na przedmieściach Nairobi.

Eustachy Sapieha przez 50 lat nie miał zamków na drzwiach, ale czasy w Kenii teraz takie, że na noc spuszcza kraty na okna swej willi z ciosanego kamienia, a przy każdym oknie leży nabita strzelba. Ostrzegł też ludzi, że kto wejdzie w nocy na obszar posiadłości, zostanie zastrzelony. Do Kenii wezwał go ojciec, też Eustachy Sapieha był wtedy w Belgii ze świeżo poślubiłą żoną Marią Siemiańską. Spotkali się w Grabau w Szwecji-Holsztynie. Pracę w stadninie arabsów, wywiezionych z Polski, z Racotu, dał mu Stefan Zamoyski; Zamoyski został kierownikiem stadniny po przejściu wojsk amerykańsko-brytyjskich.

Eustachy Sapieha był wcześniej po zachodniej stronie frontu - ukrywał się po ucieczce z transportu do obozu koncentracyjnego. W Grabau miał pokój z cennymi meblami. Zgłosiła się po nie pewnego dnia Antonina Maria, cudem dowiadując się, że są właśnie w Grabau. Walczyła w powstaniu warszawskim, po czym schroniła się we Francji. Jeszcze tego samego 1945 roku wzięli ślub i wyjechali do Belgii, a stamtąd do Kenii. Sapieha senior do Kenii dotarł z wojskami gen. Andersa. Wcześniej 10 miesięcy spędził w więzieniu na Lubiance w celi śmierci, skąd wyciągnął go gen. Sikorski. W Kenii ten był minister spraw zagranicznych został komisarzem polskich obozów przetrzymawczych, w których znalazło się 41 tys. Polaków. W 1948 roku Brytyjczycy zaczęli obozy likwidować. W Kenii pozostało ok. 300 Polaków. Dziś jest ich mniej niż 30.

Sapiehowie kenijscy wierzą w przeznaczenie. Eustachy senior miał już bilet do Kenii w 1939 roku, kiedy wybierał się na safari. Z wiadomych względów wyjazd się nie udał, ale przeznaczenie go nie ominęło. Gdy przestał być komisarzem, prowadził tatarak, potem zbierał ziarny pizenyelowy w Afryce Wschodniej i Południowej. Ziemniakowali Japończycy. Ten interes też się skończył, jego żona wniosła do wniosku, że w Afryce Wschodniej nie ma już roboty. Jego wyprawy i penetracje postawiały mu przed sobą tajne służby władz kolonialnych. Ale gdy on zabrał się do Polak zabrał kamienie na ugorze - policja oznajmiła, że nie ma prawa rozumu i dała mu spokój. Tymczasem siepomiarze rubinów i szafirów znajdujących się dziś w muzeach świata żył w tym terenie w kopalniach Sapiehy.

Największy rubin 200 kg. W Nairobi Sapiehowie postawili w ogrodzie gazonie kapliczkę, w której polski ksiądz co miesiąc odprawia mszę. Rubinami otoczona jest kopia obrazu Matki Boskiej Kodeńskiej. W latach 60. i 70. kopalnie rubinów i szafirów zaczęły nacjonalizować.

Sapiehowie zajęli się organizacją polowań dla gości z pękatymi portfelami z Europy i Ameryki. Kelnerzy we frakach podawali zimny szampan o północy w buszu, na ucztach po polowaniu. W 1978 roku rząd kenijski zakazał polowań na wytrzebioną już bardzo zwierzyńnię. Sapiehowie zaczęli zatem organizować bezkrywe safari dla elit.

Firma Sapieha-Safari działa do dziś i prowadzi ją córka Eustachego juniora, Teresa. Druga córka, Maria Gabriela, wyszła za Szweda i mieszka w Nairobi. Trzecia, Anna Joanna, poślubiła hr. Wodickiego i mieszka w Kanadzie, gdzie powiła dwoje wnuków Eustachego.

Ksiądz Eustachy ma mieszkanie na Mokotowie, ale do Polski już nie jeździ, z uwagi na astrę. Jego dom znajduje się zresztą w Afryce, to widać po nietytu przodków, od kanclerza wielkiego litewskiego po jego prapradzi. Najpierw trafiły do Afryki Południowej, a teraz polscy krążąta patrzą ze ścian polskiego arystokraty, którego świat - ten na północy - już nie istnieje.

Aleksander Jakubowski

## WSPOMNIENIA WŁODZIMIERZA STRZAŁKOWSKIEGO (ciąg dalszy)

Motorówką kolejową dojechaliśmy do Ushorodu, stolicy Rusi Przykarpackiej, gdzie zgłosiliśmy się do polskiego konsulatu. Pan konsul zażądał dokumentów: "A panów dokumenty, legitymacje? Bo, jeżeli jesteście oficerami, to powinniście mieć legitymacje oficerskie". Popatrzyłem na niego jak na wariata: "Proszę pana, myśmy w tej chwili przyszli z Polski. Czy pan sądzi, żeśmy przechodzili granice niosąc w kieszeniach legitymacje oficerskie?" Ogólnie rzecz biorąc, przyjęcie było niezbyt przyjemne, ale w rezultacie dostaliśmy pieniądze na bilety do Budapesztu i zaświadczenie w języku węgierskim i polskim, że na skutek działań wojennych w Polsce zmuszeni byliśmy przekroczyć granicę polsko-węgierską. Pociągiem nocnym pojechaliśmy do Budapesztu. O mały włos nie znaleźliśmy się w obozie polskich uciekinierów. W naszym wagonie jechała grupa Polaków pod strażą żołnierzy węgierskich i chciano nas do niej zaliczyć i zabrać do obozu. Dopiero interwencja jadącej z nami w przedziale Węgierki uwolniła nas od kłopotu.

Rano przyjechaliśmy do Budapesztu, poczekaliśmy na dworcu parę godzin i udaliśmy się do Vassi Udso, gdzie mieściła się polska misja wojskowa. Zameldowaliśmy się i powiedziano nam, że musimy pójść do obozu na wyspie na Dunaju i czekać, aż przyjdzie nasza kolej na wyjazd do Francji "... co może potrwać długo, bo pierwszeństwo mają lotnicy i czołgiści, a kawalerzyści i artylerzyści są na dalszym planie."

Wtedy przypomniało mi się, że przed wojną mój ojciec przyjaźnił się z sekretarzem ambasady węgierskiej w Warszawie, hrabią Ivo Shekeli, który wielokrotnie zapraszał mnie do Budapesztu. Powiedziałem o tym Januszowi i postanowiliśmy spróbować. Adres znaleźliśmy w książce telefonicznej, poszliśmy na wyspę św. Małgorzaty zamieszkałą przez węgierską arystokrację i znaleźliśmy willę Shekeli. Zadzwoniliśmy do drzwi wejściowych, wyszedł lokaj. Próbowaliśmy się z nim dogadać, ja po francusku, a Janusz po niemiecku. Nie przyniosło to żadnego rezultatu. Ponieważ nasz wygląd nie wzbudzał zaufania, lokaj zaczął nas wypychać za drzwi. Janusz - wprawdzie niewielkiego wzrostu, ale zwarty i silny - zareagował natychmiast; strzelił gościa w pysk tak, że ten wyrócił się. Powstało zamieszanie i hałas, wyszła jakaś starsza dystygnowana dama, powiedziała coś po węgiersku. Zwrociliśmy się do niej po francusku - okazało się, że mówi zarówno po francusku jak i po niemiecku. Przedstawiłem się, nawiązałem do wizyt jej syna u nas, na co ona stwierdziła, że syn opowiadał jej o tej znajomości, a moje nazwisko było jej znane. Zaprosiła nas do środka i prosiła czekać na powrót syna z pracy w ministerstwie. Nawet zadzwoniła do niego i powiedziała o naszym pojawieniu się. Ivo poznał mnie, mimo mojego wyglądu, bardzo serdecznie przyjął, wysłuchał historii naszego życia, z zalem dowiedział się o śmierci mojego ojca. Pełne gościnności i troski przyjęcie trwało 2 tygodnie. Optywaliśmy w dostatki, ubrania, pieniądze i towarzystwo znajomych państwa Shekeli. Ivo, jako pracownik ministerstwa spraw zagranicznych na dość poważnym stanowisku, pomógł nam załatwić wyjazd do Francji. Z polskimi paszportami, żegnani przez grupę naszych węgierskich przyjaciół z bukietami biało-czerwonych róż, wyruszyliśmy w podróż do Paryża pociągiem pospiesznym w wagonie drugiej klasy. Po drodze w Modenie kupiliśmy butelkę szampana, żeby uczcić Nowy Rok (było 31 grudnia 1939 roku), ale przespaliliśmy godzinę 12.

W myśl otrzymanych rozkazów zameldowaliśmy się w hotelu Regina, gdzie mieściło się polskie dowództwo. Wpisano nas na listę oficerów w stopniu aspiranta, bo nie mieliśmy żadnych dokumentów. Aspirant, to był taki dziwoląg armii francuskiej, ktoś kto mógł zostać oficerem.

Zostaliśmy przydzieleni do koszar Lesueur, gdzie przez parę dni wegetowaliśmy na ogólnych salach, na podłodze, na materacach. Potem przenieśliśmy się do prywatnego hotelu. Zapowiedziano nam, że zostaniemy przesunięci do punktów zbornych oficerskich, Janusz - kawalerii, a ja - artylerii. Dość często odwiedzaliśmy moją rodzinę, między innymi mego brata ciotecznego płk. Jana Kamińskiego, byłego dowódcy 21. pułku artylerii w Bielsku Białej. Spotkanie było miłe i serdeczne, opowiedzieliśmy sobie nasze losy. Kiedy Janek dowiedział się, że dano nam stopnie aspirantów, momentalnie interweniował i awansowano nas do stopni podporuczników.

W Paryżu nastąpiło moje rozstanie z Januszem, on wyjechał do obozu Sabre de Long w Bretanii, a ja do obozu artylerii w La Rechillon. La Rechillon w Bretanii - oficerowie artylerzyści w liczbie około 200, których komendantem był płk. Kazimierz Kusz, nazywany "Kuszu". W irackiej szkolenia wysłany zostałem na kurs oficerów zwiadowczych do Coetquid, który był obozem polskim, czynnym już w czasie pierwszej wojny światowej i gdzie utworzono armię Hallera.

Po powrocie z kursu długo siedziałem beczynnym i czekałem na przydział. W tym czasie wydarzyła się komiczna historia, która skróciła czas oczekiwania. Do prywatnego mieszkania rodziny francuskiej, w którym mieszkało nas trzech: porucznik, podporucznik i ja, zaprosiliśmy w celach zupełnie uczciwych młodą Francuzkę, znajomą jednego z nas, ppor. Karchoffa. Długo rozmawialiśmy i około godziny 10 gospodarze, którzy podejrzewali niewiadomo co, zamknęli drzwi wejściowe do domu. Trzeba było pannę wypuścić przez okno, ja po odprowadzeniu jej zapukałem do drzwi wejściowych. Otworzyli gospodarze, wywiązała się bardzo nieprzyjemna dyskusja, w rezultacie której Francuz złożył na mnie zażalenie i skończyło się to raportem u komendanta ośrodka płk. Kusza.

Dostałem przydział do drugiej dywizji strzelców pieszych w miejscowości Parteyai, do kompanii przeciwpancernej. Nie był to przydział ściśle artyleryjski, ale musiałem się z tym pogodzić. Personel kompanii stanowili młodzi oficerowie służby stałej, synowie polskich emigrantów zamieszkałych we Francji. Dowódcą kompanii był kpt. Woźniak. Stacjonowaliśmy w Parteyai czekając na przydział sprzętu, którego nie mieliśmy. Wreszcie wysłano nas do miejscowości Granville, do budynków szkoły przeznaczonych na skoszarowanie wojska. Dostaliśmy jeden samochód 3-tonowy i jeden motocykl z przyczepką - wszystko na wożenie żywności i ewentualnej poczty.

Na początku maja Niemcy uderzyli na Holandię i Belgię, a my naraz w ciągu 3 dni dostaliśmy wszystko - mundury, karabiny maszynowe, działa, ciągniki, itd. Francuzi widząc, że zaczyna się źle dziać, wystali na gwałt wszystko co mogli na front. Między innymi polską kompanię, która nie widziała wcześniej francuskiego sprzętu przeciwpancernego i nie miała treningu w tym zakresie. Zostaliśmy przydzieleni nie do naszej polskiej dywizji, lecz do angielskiej kolonialnej dywizji strzelców pieszych, bodajże 74. Miejscem naszego postoju w oczekiwaniu na akcję był rejon kanału Alberta na granicy belgijskiej.

Zacząła się tragedia francuskiego odwrotu 40 roku. Dla mnie osobiście była to tragedia tym większa, bo wychowany byłem w rodzinie o silnych tradycjach francuskich, gdzie przodkowie walczyli w Legionach Dąbrowskiego, w armii polskiej u boku Napoleona, gdzie czytano książki Przyborowskiego, Gąsiorowskiego

i Tetmajera. Tym razem Francuzi nie chcieli się bić, nie mieli ani honoru, ani najmniejszej ochoty, żeby stawić opór Niemcom. 74. dywizja złożona częściowo z białych, a częściowo ze Spahisów, Tyrolczyków i Algierczyków była bez porównania lepsza od każdej przeciętnej dywizji francuskiej. Wchodziliśmy kilkakrotnie do akcji, a jeden z naszych plutonów przydzielony do pułku piechoty francuskiej zaginął bez wieści.

Najcięższa dla mnie akcja miała miejsce pod Amiens, gdzie przydzielony zostałem do Spahisów, okopanych na linii odwrotu. Uderzyło na nas natarcie piechoty niemieckiej wsparte 4 czołgami. Mój pluton rozbił z miejsca 2 czołgi, ale dostał się pod ogień trzeciego i został zniszczony. Ocalało działo, a z jego obsługi młody chłopak z Francji Władysław Marczak, który nawet po polsku słabo mówił. Tak się złożyło, że moje stanowisko obserwacyjne było właśnie przy tym działaniu. Widząc, że działon nie jest zdolny do walki, zająłem stanowisko celownicze, a Marczak ładował działo. Udało nam się rozbić trzeci czołg, a ostatni został rozbity osobicie przeze mnie z odległości 20 metrów. Niemiecka piechota na skutek zniszczenia wycofała się. Niewiele to pomogło i batalion po paru godzinach musiał się znowu wycofać.

Wycofywanie trwało przez jakieś 10 dni. Widzieliśmy tłumy uchodźców, rozbrojonych żołnierzy francuskich, którzy bez broni samowolnie porzuconej, z kijem i manierką uciekali. Utało się wówczas wśród Francuzów powiedzenie "le bidon, le baton et a la maison", co znaczyło "manierka na wino, kij do ręki i do domu". Oddział nasz ciągle jeszcze zwarty, choć zostały tylko trzy działony był unikatem na drodze. Ciężka to była droga, pod ogniem, pod bombami bezkarnie hulających samolotów niemieckich; droga zapchana tysiącami ludzi i setkami wozów cywilnych i wojskowych.

W atmosferze ogólnego popłochu dotarliśmy w okolice Dunkierki. Zatrzymano nas w linii obronnej, obsadzonej głównie przez oddziały angielskie. Kazano nam wycofać się do portu, gdzie po zatopieniu sprzętu zdołaliśmy się dostać na statek-węgiarzkę Eiderpool i statkiem tym dotarliśmy do Porthmouth w Anglii.

Muszę tu dodać, że kampania francuska przyniosła mi moje pierwsze odznaczenie: za działalność w obronie, o której wspominałem zostałem udekorowany krzyżem Croix de Guerre przez dowódcę dywizji, już następnego dnia, właściwie na polu bitwy, z wielką pompą, z udziałem kompanii honorowej.

Kampania francuska - w którą wkładaliśmy całą nadzieję i wiarę, że doprowadzi do zwycięskiego zakończenia wojny i powrotu do domu - zakończyła się haniebnie. Znaleźliśmy się w Anglii i rozpoczął się dla nas nowy etap naszego wkładu w szczęśliwe zakończenie wojny. Po tym co przeżyliśmy we Francji, Anglia - gdzie panował spokój i porządek - wydawała nam się rajem. Statek nasz dobił ostatecznie do mola, brudni po podróży w węglarce doprowadziliśmy się do porządku, wydano nam jedzenie i załadowano do pociągu, który ruszył na północ do Glasgow w Szkocji.

Nie wiedzieliśmy dokąd jedziemy i tak, jako jeden z pierwszych polskich oddziałów rozpoczęliśmy inwazję Szkocji. Jedynie Brygada Podhalańska, która brała udział w walkach w Norwegii, na krótko była we Francji, ale nie weszła do akcji i wreszcie znalazła się w Anglii. Dotarliśmy do Glasgow i mimo straty ludzi i sprzętu, w pełnym umundurowaniu i uzbrojeniu ręcznym, w hełmach, wypoczęci i dobrze już wyglądający, z piosenką na ustach przemaszerowaliśmy przez Glasgow ze stacji kolejowej na boisko psich wyścigów, gdzie przygotowany był dla nas obóz namiotowy.

Była niedziela, gdy wylądowaliśmy w Glasgow. Wolne popołudnie postanowiliśmy spędzić zwiedzając miasto, ale nie mieliśmy pieniędzy angielskich, tylko franki,

których w niedzielę nie można było nigdzie wymienić. Wyszliśmy na miasto we trzech: mój starszy kolega z Torunia Zbyszek Czołowski, ppor. z naszego oddziału Mietek Sitwa i ja. Ktoś zdobył crown (2 i pół szylinga). Pochodziliśmy trochę po mieście, wreszcie weszliśmy do pubu, żeby się czegoś napić. Wtedy jeszcze nikt z nas nie znał języka, zamówiliśmy na migi trzy drinki, barman nalał nam trzy whisky, które wypiliśmy po polsku, bez wody i z niewielkim entuzjazmem. Postawiliśmy szklanki na barze i zaczęliśmy rozmawiać. Barman nalał nam powtórnie. Wypiliśmy znowu i dalej rozmawialiśmy, a barman znowu nalał nam do szklanek. Wydało mi się to podejrzanym, więc podsunąłem mu pieniądze, a on je z uśmiechem odsunął. Zobaczyłem cywila, który też uśmiechał się do nas, coś mówił po angielsku, my nic nie rozumieliśmy. Okazało się, że ten Szkot zobaczywszy nas wchodzących do baru, powiedział barmanowi, żeby nam dał to co chcemy, a on za to wszystko zapłaci. Z tym Szkotem nawiązaliśmy bardzo serdeczne stosunki, prosto z tego baru zabrał nas do domu, gdzie poznaliśmy jego żonę i dwie córki i gdzie spędziliśmy resztę tej niedzieli, aby wieczorem wrócić do naszego psiego obozu.

Po krótkim pobycie w Glasgow zostaliśmy przeniesieni do miejscowości o nazwie Tyriagh, gdzie na okolicznych wzgórzach rozbite były setki namiotów o drewnianych podłogach, na wypadek deszczów. W obozie tym stacjonowała duża grupa wojska polskiego, w okolicy powstawały polskie kantyny, teatr polowy, a nawet polski szpital z polskimi lekarzami i siostrami. Stopniowo zostaliśmy przemundurowani i przezbrojeni w wyposażenie angielskie, dostaliśmy mundury polowe i oporządzenie, wreszcie wydano nam karabiny i po 5 sztuk amunicji, żeby było czym bronić Szkocji przed grożącą według ogólnego mniemania inwazją niemiecką. Siadzieliśmy w tych dość oplakanych warunkach aż do października 1940, kiedy część naszych oddziałów została przesunięta w okolice Cooper Fifeshire w hrabstwie Fife, tworząc częściowo 1. brygadę strzelców. Druga część została przesunięta do Cooper Angus, gdzie zaczęła się tworzyć 10. brygada strzelców pod dowództwem gen. Maczka. Jeśli chodzi o naszą kompanię to staliśmy pod samym Cooper w miejscowości Dersey na drodze do St. Andrews, za wyjątkiem mojego plutonu, który był przesunięty paręnaście kilometrów i stał samotny w miejscowości Duraden.

Żołnierze zakwaterowani byli w sali rekreacyjnej miejscowego klubu, a ja mieszkalem na kwaterze u miejscowych Anglików. Żyliśmy spokojnie, właściwie nic nie robiąc, za wyjątkiem pomagania Szkotom z wioski w ich koniecznych robotach, czy to w ogrodach, czy przy dobytku. Nawiązaliśmy bliższe stosunki z miejscową ludnością, która odnosiła się do nas bardzo serdecznie. Opieką nad moim plutonem zajęła się wdowa po lordzie Law. Działając z jej ramienia, młoda Szkotka panna Helen Kerr nie szczędziła trudów organizując dla nas rozrywki, gry, wycieczki do St. Andrews oraz innych pobliskich miejscowości. Kiedy przyszło Boże Narodzenie, zorganizowała dla nas choinkę i drobne gwiazdkowe upominki od miejscowej ludności.

W tym czasie byłem codziennym gościem dowództwa kompanii w Dersey, gdzie odbierałem rozkazy i zarządzenia. Nad nami trwała powietrzna bitwa o Wielką Brytanię. Cierpiały wszystkie większe miasta z Londynem na czele, my siedząc na głuchej prowincji nic nie odczuwaliśmy. Kompania nasza dzięki dobremu wyszkoleniu i przygotowaniu wojskowemu brała udział w całym szeregu uroczystych wystąpień, jak przyjazd prezydenta Raczkiewicza, przyjazd Naczelnego Wodza gen. Sikorskiego, a nawet wizytacja polskich oddziałów w Szkocji przez rodzinę królewską.

Po paru miesiącach dostaliśmy wreszcie sprzęt, wprowadzie przestarzały ale kiedy zaczęliśmy szkolić żołnierzy odbiło się to bardzo korzystnie na ich



samopoczuciu. Około czerwca 1941 wyszedł rozkaz Naczelnego Wodza gen. Sikorskiego, oznajmiający, że oficerowie polscy mogą na ochotnika wstępować do armii brytyjskiej. Rozkaz ten wywołał zrozumiałe poruszenie w szeregach polskiego korpusu oficerskiego. Zgłosiło się ponad 1000 polskich oficerów. Z naszej kompanii zgłosiło się nas dwóch: ppor. Mietek Sitwa i ja. Po wypełnieniu najrozmaitszych papierków, po otrzymaniu zezwolenia od dowódcy naszej brygady, po przejściu szczegółowych badań lekarskich w Edynburgu, zostaliśmy ostatecznie przyjęci w szeregi armii brytyjskiej.

Pożegnaliśmy się z naszym wojskiem, z przyjaznymi Szkotami, ja pożegnałem się z naszą opiekunką Helen i rozjechaliśmy się do macierzystych oddziałów armii brytyjskiej. W moim przypadku był to pułk artylerii lekkiej stojący w Norwich. Na początku występowałem w mundurze polskim. Zostałem dość mile przyjęty przez cały korpus oficerski pułku, choć mój angielski nie był zbyt dobry. Jak wszyscy oficerowie dostałem kwatery, przydzielono mi ordynansa. Pierwszego dnia ordynans zabrał do czyszczenia mój polski mundur, którego guziki były aksydowane na ciemno i następnego dnia przyniósł mi mundur z guzikami świecącymi się na złoto. Wypucował je do złotego połysku, bo myślał, że są zardzewiałe.

Po krótkim pobycie w Norwich zostałem przeniesiony do Londynu, gdzie miałem czekać na załadowanie na transport morski i wyjazd do Afryki. W Londynie spotkałem Mietka. Po paru dniach pobytu pojechaliśmy pociągiem do portu Swansea, który właśnie poprzedniej nocy przeżył duży nalot lotnictwa niemieckiego. Gruzy były świeże, pożary nie były jeszcze zgaszone. W tym ciężkim dla Swansea momencie załadowano nas na statek belgijski o nazwie Chantilly, którym mieliśmy przepłynąć do Freetown w Sierra Leone. Podróż zapowiadała się ciekawie, bo wśród 400 oficerów było około kilkudziesięciu Polaków. Na statku płynęła również 300-osobowa kompania kobiet z Belgii i Francji do służby we francuskiej armii kolonialnej. Wypłynęliśmy ze Swansea w konwoju okrętów brytyjskiej marynarki wojennej. Podróż była ciekawa, ale powiedziałbym niebezpieczna, bo wyjście na pokład zwłaszcza po zapadnięciu ciemności groziło porwaniem przez nasze towarzyski podróży.

Włodzimierz Strzałkowski

## TRUDNY ROK PAPIEŻA (28.IV.94 - 28.IV.95)

Ten dziwny tytuł dałem temu artykułowi z powodu trzech zasadniczych wydarzeń, które dostrzegłem w życiu Jana Pawła II w przeciągu ostatniego roku.

Dnia 28 kwietnia 1994 roku Jan Paweł II pośliznął się w swojej łazience, co zakończyło się złamaniem szyjki prawej kości udowej. Stało się to po godzinie 23 w nocy. Przez noc papież pozostał w swoim apartamencie, zanim go rano odwieziono do kliniki Gemelli. Zrobiono natychmiast operację. Leczenie trwało do 27 maja. Tego dnia o godzinie 6 wieczorem Jan Paweł II powrócił do Watykanu.

Podczas miesięcznego pobytu w szpitalu wszelka działalność papieska była zawieszona. Najbliżsi współpracownicy bywali u Ojca Świętego z krótkimi wizytami. Z prasy dowiedziałem się, że w czasie tego pobytu w szpitalu Jan Paweł spotkał się także z prezydentem Lechem Wałęsą 18 maja.

Papież po raz pierwszy przewodniczył mszy św. w Bazylice św. Piotra 29 czerwca 1994 roku. Tradycyjne audyencje śródowne rozpoczęły się 6 lipca. Odbywały się one w Auli Pawła VI i Bazylice św. Piotra. Ojciec Święty zrezygnował z "wędrówki" po Auli. W Bazylice św. Piotra wita się z pielgrzymami stojącymi przy barierach. Chorzy na wózkach mają przywilej witania się z Ojcem Świętym.

Drugim powodem, który zaliczam do trudnych wydarzeń pontyfikatu Jana Pawła II była światowa konferencja w Kairze - inicjatywa będąca nieporozumieniem w kontekście ogłoszenia przez ONZ roku 1995 rokiem kobiety. Niektóre komisje ONZ przygotowały takie materiały, które usiłowały podważyć chrześcijański model rodziny. Sugerowano zastąpienie go umownym związkiem dwojga ludzi bez względu na płeć.

Ojciec Święty mimo osłabienia chorobą zwalczał te błędne teorie. Należy tutaj wspomnieć słynny list do rodzin. Mówił na ten temat w Bazylice, przy każdej okazji poruszał te zagadnienia, które miały stanowić materiał do dyskusji w Kairze. Przewodniczył spotkaniu rodzin, które miało miejsce 8 i 9 października. Była to wielka manifestacja chrześcijańskich rodzin, wiernych Kościołowi, jego Pasterzom i Ewangelii. Jan Paweł II wydał pierwszy w historii Kościoła list do dzieci.

Trzecią przyczyną określenia minionego roku, rokiem trudnym dla papieża, była sprawa polska. Nie miało to wprawdzie międzynarodowego wydźwięku, ale dla papieża była to sprawa bardzo ważna. Wyniki wyborów do sejmku w wrześniu 1993 roku dawały o sobie znać. Partie lewicowe, które wygrały te wybory nie chciały zatwierdzić konkordatu z Watykanem. Był to zwyciężny afront wobec Jana Pawła II. Zlekceważono mianowanie nowego ambasadora w Watykanie. Nie zaprzestano ataków na Kościół i personalnie na papieża. Będąc w Nigerii, tak mówił tam do Polaków: "Bardzo głęboko przeżywam wszystkie wydarzenia, które się dzieją w Ojczyźnie, zwłaszcza wydarzenia trudne, i daję wciąż głośno wyraz temu, do czego Polacy, jako naród mają prawo ze strony swoich sąsiadów..."

Mimo tych pewnego rodzaju trudności, papież przyjmuje w Watykanie różnych ludzi, którzy pragną złożyć mu wizytę. Pielgrzymowanie do Rzymu jest znakiem przywiązania do Kościoła i do Ojca Świętego. Dlatego też należy zachęcać wiernych do odwiedzania Progów Apostolskich.

"Pielgrzymowanie - powiedział Jan Paweł II do pielgrzymów (4/07/1993) - jest przeciwieństwem postawy, dzisiaj bardzo rozpowszechnionej, którą nazywamy konsumpcyjną. Jest najpierw przyjściem Boga do nas, ażeby otworzyć nam drogę. Jest z kolei przychodzeniem naszym do Boga. Jest pielgrzymowaniem".

Jan Paweł II obecnie obchodzi 17-lecie swego pontyfikatu, a 12 maja rozpocznie 76 rok życia. Mimo tych lat Jan Paweł II żartobliwie powiedział o sobie do pielgrzymów 6 stycznia 1995 roku. "Przyjechaliście przypatrzeć się, jak ten papież wygląda. Mówią, że już się starzeje, że już nie umie chodzić bez laski. Tymczasem jakoś tam jeszcze... jeszcze... się trzyma, głowa też jeszcze nie najgorzej. No więc, kogo to interesuje, to powiedzcie: nie jest tak źle z tym papieżem".

Stąd więc cieszymy się bardzo, że we wrześniu będziemy mogli pielgrzymować w Afryce Południowej do Ojca Świętego. Udamy się tam, gdzie on będzie i zobaczymy Chrystusa w Jego Namiestniku Janie Pawle II. Będzie to wydarzenie bezprecedensowe w historii RPA.

Ks. Infułat Jan Jaworski

Pani  
Danuta Strażkowska  
ul. Działkowa 83  
10-861 Olsztyn-Dajtki

Szanowna Pani, wiosną br. p. Barbara Wyszyniska przekazała nam 4 kasety wspomnień z okresu II wojny światowej; nagrane przez p.płk. Włodzimierza Strażkowskiego w Afryce Południowej oraz 9 kartek kserokopii wspomnień Pani Msza wydrukowanych w nr. 14, 15, 19 „Notatnika Technika” z 1993 r. w dziale „Profile Emigracyjne”. Ten cenny dar został włączony do zbioru „Relacje” Archiwum Wschodniego pod numerem katalogowym I/918. Ponieważ zbiory Ośrodka „Karta” są wprowadzane do komputera - prosilibyśmy o uzupełnienie danych dotyczących osoby p.płk. Włodzimierza Strażkowskiego, a mianowicie:

1. Data i miejsce urodzenia, 2. Podwojenie społeczeństwa,
3. Wykształcenie, 4. Kawał (do 1939 i na emigracji)
5. Data i miejsce śmierci.

Będziemy wdzięczni za możliwie szybkie spełnienie naszej prośby.

1-3

A. Rudzińska

Danuta Stralikowska  
83, Działkowa  
OLSZTYN 10861

Wpłynęło, dnia 1998-08-17  
L. dz. 12528

11-8-98

Szanowna Pani,

W odpowiedzi na Pani list z 24/7  
pragnę przede wszystkim przeprosić  
za zwłokę.

Niestety, nie było mnie w Polsce  
przez 5 tygodni (prebywałam u syna  
we Francji) i dopiero wróciłam  
11/8.

Dane statystyczne:

- 1) Data urodzenia - 29-6-1915 W-wa
- 2) pochodzenie - syn obywatela ziemskiego
- 3) wykształcenie - 3 lata wyższej  
Szkoły Gospodarstwa Wajskiego,  
wyższa Szkoła Wojskowa  
(British Army Staff College, Haife)  
w ramach 2-go Korpusu.

4) zawód - oficer zawodowy do 1945  
handlowiec po 1945

5) data zgonu - 13-1-1996 OLSZTYN

Jestem bardzo wdzięczna za  
losy mego męża zostający  
wciąż do zbiorów i posostawiając  
tam na zawsze.

Dziękuję

i pozostaje z  
szacunkiem

